

W Poznaniu od kilku lat istnieje i pracuje zespół młodych pisarzy, zorganizowanych w Kole Młodych przy Związku Literatów Polskich. Twórczości tej grupy w zakresie prozy, poezji, krytyki i satyry poświęcamy dwie kolumny dzisiejszego dodatku.

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok IV numer 19

Niedziela, 10 V 1953

Tadeusz Haluch

Młoda literatura Poznania

Sprawa kształcenia młodych kadr literackich nie wychodzi z kręgu zainteresowań szerokiej opinii publicznej. Zwolennicy poglądu, że prawdziwy talent bez względu na warunki zawsze zdoła się „wybić”, wobec czego opieka nad nim jest niepotrzebna, należą na szczęście do rzadkości. Społeczeństwo widzi konieczność systematycznego wychowywania młodego pokolenia pisarzy i stworzenia mu warunków umożliwiających wszechstronny rozwój ideowo-artystyczny. Konkretnym wyrazem tej konieczności było powołanie do życia instytucji Kół Młodych przy oddziałach Związku Literatów Polskich.

Kiedy na odbytej niedawno naradzie opiekunów i przewodniczących Kół Młodych w Oborach pod Warszawą padły w dyskusji głosy kwestionujące celowość istnienia tej instytucji, dla większości uczestników było rzeczą jasną, że stanowią one wynik pochopnego ulegania sugestii faktów, bez próby dotarcia do ich istoty. Jakże to fakt przede wszystkim wzniecił nastroje pesymistyczne w ocenie działalności Kół Młodych? Przede wszystkim ogólny spadek ilości członków. W pierwszych latach powojennych do Kół Młodych zapisali się ludzie z pokazywanym nieraz dorobkiem twórczym. Ludzie ci wkrótce (a są wśród nich nazwiska znane dziś całej Polsce) zasilili szeregi ZLP. Ze zrozumiałych względów rozwój pozostałych członków jest powolniejszy. Są oni młodszy i teraz dopiero pogłębiają swoje umiejętności pisarskie. Najważniejsze jednak jest to, że mimo zmniejszonych szeregów Koła Młodych pracują nadal, że nadal tworzą ośrodki ideowo-artystycznego dojrzenia adeptów literatury i że nadal miejscowe oddziały ZLP mogą liczyć z ich strony na zastrzyk młodej krwi.

Jak pracuje poznańskie Koło Młodych?

Proces rzednięcia szeregów nie ominął również Koła poznańskiego. Liczy ono w chwili obecnej 14 stałych członków i kilku sympatyków. Jest to niewątpliwie liczba jak na Poznań zbyt mała. Nie zapominajmy jednak, że Związek Literatów Polskich w Poznaniu otrzymał od Koła bardzo poważny „zastrzyk krwi” (Bogusław Kogut, Gwido Ireneusz i Stanisław Kamiński).

Zebrania robocze Koła, na których dyskutuje się nad materiałami twórczymi młodych literatów oraz najważniejsze mi zagadnieniami życia literackiego w Polsce, odbywają się przeciętnie co dwa tygodnie. Ostatnio, w miarę intensyfikacji pracy Koła, były one zwoływane nawet co tydzień. W maju Koło Młodych wznawia odbywane w roku ubiegłym zebrania. Szkoleniowo - ideologiczne w zakresie estetyki i literaturoznawstwa marksistowskiego.

W trosce o poszerzenie szeregów Koła Młodych ogłosiło w prasie apel rekrutacyjny. W odpowiedzi nań wpłynęło wiele nowych podań i materiałów, z których, niestety, większość nie odpowiadała wymogom stawianym przez Komisję Kwalifikacyjną mimo złagodzonej ostrości kryteriów oceny. Zarząd wychodząc z założenia, że zbyt daleko idące łagodzenie tych kryteriów może spowodować napływ jednostek nie dojrzałych jeszcze do pracy na poziomie Koła, zaopiekował się jednak autorami prac rokujących pewne nadzieje na przyszłość. Poeci rozłóczyli opiekę nad poetami, prozaicy nad prozaikami (a raczej — kandydatami na prozaików).

Skoro już jesteśmy przy podziale poeci — prozaicy, warto wspomnieć, że w Kole Młodych przeważa proza. Poetów jest tylko trzech (Urszula Ptaszyńska, Edward Bernstein, Józef Ratajczak). W gronie prozaików można znaleźć felietonistę, krytyka literackiego, nie licząc publicystów dobrze znanych czytelnikom prasy poznańskiej (Bronisław Kowalski, Maciej Gryfin).

Koło pracuje intensywnie. Zebrania odbywają się często, dyskusje są żywe, niejednokrotnie na dobrym poziomie. Kilku członków Koła umieszcza swoje utwory w pismach literacko-społecznych („Nowa Kultura”, „Życie Literackie”, „Wies”) oraz w prasie miejscowej. Koło posiada stały kontakt z tygodnikiem „Wies”. Bardziej zaawansowani w pracy twórczej członkowie Koła złożyli już w wydawnictwach tomiki poezji i prozy. Wszystko to są osiągnięcia bezsporne.

Wyjść z kręgu własnego podwórka

Główny błąd działalności Koła tkwi w nadmiernym zasklepieniu się w ramach własnego podwórka. W Kole dużo się dzieje — ale wewnątrz. Za mało jest jeszcze

kontaktów ze społeczeństwem. Za mało pracy kulturalnej, wreszcie — zbyt słabe wykorzystanie prasy miejscowej dla publikacji utworów członków Koła. W ostatnim okresie wszystko wskazuje na to, że ten stan rzeczy ulegnie zmianie na lepsze. W dniach od 10—14 marca br. wizytował Koło przewodniczący Komisji Młodzieżowej przy Zarządzie Głównym ZLP — Igor Newerly. Oprócz analizy dorobku twórczego młodych pisarzy zajął się on kwestią przełamania złej tradycji nie wychodzenia z działalności Koła na zewnątrz. W porozumieniu z Zarządem Wojewódzkim ZMP Koła Młodych objęło szefostwo kulturalne nad dwoma ośrodkami: Fabryką Sprzętu Rolniczego w Poznaniu-Starogardzie i Spółdzielnią Produkcyjną Dąbrówka w pow. poznańskim. Młodzi literaci organizować będą w tych ośrodkach cotygodniowe wieczory autorskie oraz zebrania poświęcone recytacji współczesnej poezji i prozy.

Trudno powiedzieć, czy rozwój Koła nie napotka w najbliższej przyszłości na jakieś opory czy też skrzywienia. Jedno jest pewne, realizacja opracowanych planów przyczyni się do aktywizacji i scentementowania jego szeregów. Stałe podnoszenie poziomu ideowego i artystycznego twórczości, szeroka współpraca z prasą i radiem, nieprzerwany kontakt ze społeczeństwem — oto droga, którą powinni kroczyć młodzi poznańscy pisarze, jeśli pragną stworzyć ze swego Koła naprawdę twórczy ośrodek literacki i wychowawczy.

Józef Ratajczak

Uklejony z błyszczącej tektury stał na wystawie Pałac Kultury.

Przez ulicę szła codzienna wrzawa; ktoś co chwilę przed szybą przystawał.



MAKIETA

Patrzył na to, na tamto, na owo i z podziwem potakiwał głową.

A w południe przed największą z wystaw przystanął gimnazjalistka.

Stała długo... Nie, nie stała wcale lecz chodziła przez piękne sale;

Oglądała każdy fragment muru dotykając rzymskich marmurów.

I została w salach wyobraźni na wykładzie o wielkiej przyjaźni.

KREŚLARZ

Syn zgarbionego wiekiem cieśli, który przy deskach spędził żywot — na planach marzeń jutro kreśli tysięcznych linii perspektywę.

I mierząc kątem przykładnicy każdą linię w planów ogromie — rozpoznał w nich ojcowskie rysy: twardy profil, ciesielskie dłonie.



Urszula Ptaszyńska

PORTRETY

Podłoga zdeptana — płasek chudy kot po kątach się wałęsa, tutaj zamiast gdańskiego kredensu, wnet zawisną na ścianach obrazy.

Leży skrawek złoczonej tapety, mokry tynk i wapno na podłodze, otwieramy świetlicę, już młodzież na drabince zawiesza portrety.

Sierp i młot miast herbowych toporów i plakaty nowych pięciolatek, tam, gdzie patrzył brodaty Batory w brokatowym półmroku komnaty.



Plan zasiewu zbóż miczurinowskich, i tabela najnowszych wyników, gdzie w peruce August Poniatowski snił o orgiach francuskich Ludwików.

Zamiast chmurnych rasowych dziedzińców przyodzianych w kosztowne tkaniny, jutro spojrzysz tu z czoła świetlicy w serca oczy promienne Stalina.

I Bieruta twarz w mądrej zadumie ze spojrzeniem otwartym na oścież przeciwstawi się pysze i dumie, aby szczęście osiągnąć najprościej.

Biją młotki w pośpiechu, trwa praca kasety, girlandy na stropie, aby godnie w podwoje pałacu weszli dawni parobcy i chłopci.

Piotr Guzy

JURGIELTNYCY

(Fragment powieści)

Miało być nagrane słońcem, nad spieczoną jezdnią falowało gorące powietrze. Zaczekał aż wysoki policjant zrobi w prawo zwrot i z gromadą ludzi wypłynął po drugiej stronie ulicy. Stąd już było niedaleko do restauracji, w której się od lat stołował. Zatrzymał się przed kinem. „Żelazna kurtyna”. Spojrzał na foty: bandyckie mordy, kobiecy smukie jak ołówki. A ten typ... Przyglądał mu się uważniej i stwierdził podobieństwo do Droзда. Wprawdzie Drozd wyższy i bez brzucha, ale gęba prawie ta sama. Hm... — Sorry! — podniósł rękę do kapelusza i ukłonił się starszej pani, której o mało nie zwałił z nóg. Dama ściągnęła brwi i zmierzyla go surowym wzrokiem. — Przepraszam, — powtórzył — zamyśliłem się.

Nieprzyjemna historia, ludzi potrafi na ulicy jak ślepy. Drozd wszystkiemu winien. Dawno nie było od niego żadnej wiadomości, chociaż go prawdziwie, to on zwykle odzywał się bardzo rzadko. Ale jak się odezwie — wiadomości murwane, z tereń, a nie lipa robiona na kolanie w mieszkaniu na Marszałkowskiej. — Żeby mieć takich więcej — westchnął sięgając po kartę. — Ale dlaczego nie daje o sobie znaku? Wpadł?

Ta myśl męczyła go przez cały obiad. Drozd nie jest jej dyny i jeśli wpadnie — świat się nie zawali, ale zawsze... Zanim się znajdzie odpowiedniego człowieka, zleci kawał czasu i robota stoi. Tak było w zeszłym roku, kiedy... Ech, lepiej nie myśleć. — Dziękuję. — Zapłacił rachunek i wsunął sześć pensów pod talerz opuścił lokal.

Po kilku minutach wdrapał się na grę czerwonego autobusu, który wewnątrz i zewnątrz głosił chwałę piwa „Guinness”. Reklama robiła swoje, więc i Radwański uległ jej potędze i postanowił przed wyjściem dalek wypić butelkę. Wysiadł na Southampton Row. Pub był pod bokiem. Pokrzepił się sto dowym piwem, które — jak głosiła reklama — nie szkodzi nawet matkom karmiącym, zapomniał o Drozdzie i ruszył w stronę British Museum.

Humor mu się polepszył, nie wiedząc skąd wpadła mu znówu do głowy Jądka. Ogarnęła go nagła fala ciepła i gdyby nie czekające przedtem obowiązki, Radwański podniósłby rękę na taksówkę i pojechał na Pimlico Road.

Do odczytu było jeszcze dwie godziny. Przesiedział je na ławce w Hyde Parku przed plaskownicą wypełnioną perlistym zgiełkiem dzieciaków. Na Serpentine woda mieniła się słońcem łuską. Daleko po drugiej stronie pływały łabędzie. Spokój, gładka powierzchnia jeziora i słońce tkwiące nieruchomo na niebie przyniosły ulgę skołatanyemu nerwom.

Do Bethnal Green pojechał kolejką podziemną. Było ciepło, na czoło wystąpił pot. Odetchnął, kiedy znów znalazł się na ulicy. Dął chłodny wiatr, niebo zaciągało się od wschodu. Znad Tamizy dochodziło buczenie barek i skrzyp okrętowych dźwigów. Jak w dżungli kluczyły wąski mi uliczkami bez drzew, obmurowanymi z dwu stron jednokowymi, piętrowymi do-

gracji, a raczej kilka luźnych myśli szkiełujących położenie w jakim się obecnie znajdujemy, kilka wspomnień ciepłych i serdecznych o Polsce, którą każdy z nas nosi w swym sercu, i wreszcie kilka uwag na temat rozwoju sytuacji międzynarodowej. Nam, ludziom, którzy codzienną swoją pracą tkwią w zagadnieniach polityki, łatwiej formułować myśli, które masie zapracowanych emigrantów niejasno się tylko odbijają po głowie. Dlatego nie dobrze by było, gdybyśmy jako wasi duchowi przywódcy, unikali kontaktów i zbliżenia... — Radwański mówił siedząc. Taka pozycja stwarzała bardziej intymną atmosferę. Złożył ręce na brzuchu i kręcił mylnką. Przemówienie umiał na pamięć, powtarzał je może już pięćdziesiąt razy. Wodził oczami po zasłuchanych obliczach na sali, przysmruchowanych oczach starszaka pod oknem, chudej pani w czarnej sukni, młodych i już przygaszonych spojrzeniami chłopców i dziewcząt w pierwszych rzędach. Odkrywał w sobie, jak zwy-



mami. Z okien wylerały ponure wnętrza. — Koszary! — Na progu siedziały stare kobiety o ziemistych twarzach z wymorusanymi dziećmi na kolanach. Zapytał o kościół oo. Franciszkanów. Kobieta posadziła dziecko na ziemi i podprowadziła go do rogu. Niech przejdzie tą ulicą w prawo, potem jest mały skwerek i stamtąd na lewo jakieś dwieście kroków. Nie może nie trafić, kościół ma wysoką wieżę i jest otoczony drzewami.

Z boku kościoła stał kremowy budynek, w którym mieściły się mieszkania zakonników, szkoła i sala parafialna. — Parafia katolicka — mówił kapitan Piechniczek — nieliczna, stąd wszystko takie małe. Ale ostatnio jest bardzo dużo nawróceń, do tego stopnia, że przeor, ojciec Tymoteusz, ma zamiar zrobić zbiorke na powiększenie szkoły, bo obecne mury nie pomieszczą wszystkich dzieci. Ludzie się garną do kościoła, aż dziw! — Podsunął mu krzesło za stołem, obitym flagą polską z dużym orłem z papier maché.

Radwański rozglądał się po sali. Przez wysokie okna wpadało zielonkawe światło i kładło się wąską smugą na podłodze. Szurkot nóg, trzask przesuwanych krzeseł przylatywał odgłosy rozmów. Ludzie zajmowali miejsca.

— Który to ten poseł? — spytał Jacek Twardowski swej sąsiadki. — Nie poseł, mówiłam przecież — odpowiedziała Wisiołkowska. — Redaktor.

— Poseł, redaktor, co za różnica. Obie gęby wypasione, to jak poznać kto co? — Wstydziłbyś się tak mówić — obruszyła się Wisiołkowska.

— Ci...! Zaczyna się. Piechniczek zagajał. Niski, krępy, o twarzy pulchnej, jakby przestraszony, poprawił krawat i jako że do prze-mówień nie przyzwyczajony, chrząknął jak należało kilka razy i poprosił szanownego pana redaktora o zabranie głosu. Nachylił się nad nim i szerokim gestem odstąpił mu salę.

— Drodzy bracia i siostry. Nie będzie to, jak mówił pan... Piechniczek, referat o roli i zadaniach naszej emi-

klę w takich wypadkach, jakąś tklivość, współczucie dla tych ludzi biednych przecież, ale uparcie się trzymających nadziei, jaką ich karmia, żyjących z dnia na dzień, niejako w ciągłym pogotowiu, na walizkach. Patrząc na nich rozczulał się coraz bardziej.

— Mówią: Anglia, Anglicy, angielski chleb. Dobrze. Weźmy ten ich chleb, bielszy i bardziej lekkostrawny niż polski. Może. Ale, drodzy bracia i siostry, ileż to razy jedząc go, myślimy o tym ubogim, polskim bochenku chleba, który matka przed rozpoczęciem znaczyła znakiem krzyża świętego. Ten ubogi bochenek chleba to przecież cała nasza ukochana Polska. To te topole szumiące szeregami wzdłuż piaszczystych dróg Mazowsza, to czarne świerki i sosny wspinające się po zboczach Podhala, to Wisła tocząca swe dumne wody od Krakowa przez Warszawę do morza. Wspomnienia ogarniają człowieka, myśl wraca codziennie...

— Boże drogi, jak pięknie mówi — szepnęła Wisiołkowska podnosząc chustkę do oczu. — Tak jak bym to sama widziała znówu.

— ...do tych jezior i rzek, nizin i gór, do tych rozspianych pól, gdzie oddycha się powietrzem cudownym i czystym jak nigdzie. Sercem zbolałym latami tułaczki zawsze jesteśmy tam, z naszymi braćmi i siostrami, z matkami i ojcami...

— Nie wytrzymam, Jacek! — Wisiołkowska opuściła głowę i zaniosła się suchym płaczem. Jacek obejrzał się. Kobiety pochlipywały, mężczyźni mieli napięte twarze, zagryzali wargi, a Radwański dalej kręcił palcami mylnka na brzuchu i wlewał z siebie słowa, z których każde rozdrapywało serce.

— ...którzy tam teraz cierpią — napił się wody, wbił oczy w strop i dodał dobitnie — pod jarzmem komunizmu. Mówił dalej jak automat, ale myśli biegły swoją własną, odrębną drogą. Takie przemówienie zawsze działało na niego rozmiękczająco. Niektórzy przeciwnicy polityczni zarzucali mu demagogię. Oczywiście nonsens! Zazdrościli po prostu swobody, z jaką wpływał na uczucia tłumów. Nie darmo przed wojną wy-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Pieśń o wyzwoleniu Lhasy



Na rynku trędowny
Zdzierał łachmany z ran.
Dziewczeta rzuciły kwiaty
Żołnierzom u miasta bram.

Skrzykiwał wiernych gniewem.
Z świątyni mosiężny gong.
Lama nienawisć wlewał
W miedziane gardła trąb.

Na stromych skałach Tybetu
Liczyli na palcach li,
Żołnierze prostując grzbiety
Liczyli przebyte dni.

Bogacz w świątyni się chronił —
Lama zatrzasnął drzwi.
Przeszłość kulą się broni —
Przyszłość jest ceną krwi.

Niech mówią przeszłe lata
Jak bardzo cierpiał ten kraj.
Dziewczeta rzuciły kwiaty
Żołnierzom znad rzeki Hoaj.

Z żołnierzem trzęsła dziewczyna,
Z piszczałek uciekał śpiew.
Wolność do karabinów
Przysła czerwona jak krew.

Dziewczeta podają ręce
Żołnierzom znad rzeki Hoaj —
Tak wita przyszłości jutrenkę
Zamierzehlej przeszłości kraj.

Prawo nowego człowieka

Opowiadania Jacka Bocheńskiego pt. „Zgodnie z prawem” wyrosły z pogranicza reportażu literackiego i nowelistyki. Ożenek tych dwóch gatunków pisarskich jest niejako wynikiem głębokiej wewnętrznej potrzeby beletrysty do wkroczenia w najbardziej złożoną i żywym rumieńcem aktualności pulsującą problematykę naszej rzeczywistości gospodarczo-społecznej. Ale także jest dowodem niemałych ambicji pisarza, stawiającego sobie za zadanie pokazanie problemów wsi współczesnej i współczesnego człowieka. Chodzi o to, aby w konkretnym, plastycznym i przekonującym obrazie literackim wydatnie to co najbardziej charakterystyczne dla danej klasy zjawisk, co narastające, rozwijające się i żywe — jednym słowem typowe.

Opowiadania Jacka Bocheńskiego porównać można do komunikatów wojennych, które w sposób przemysłowy i uszeregowany relacjonują wypadki z pierwszej linii frontu, ale które jako najświeższe, najwcześniejsze łapią zmieniającą się rzeczywistość jakby na gorącym uczynku. Dopiero w dalszym rzucie, po pewnym czasie przychodzi opracowanie szersze — w naszym wypadku epika powieściowa, przeprowadzająca literackie syntezę.

Autor poświęcił swe pióro odcinkowi wsi. A właściwie nie wsi — bo to pojęcie szerokie i dzisiaj, wobec narastania tzw. problematyki wiejskiej, nie mówi już wiele. Bocheński bohaterem obrał człowieka

w jakiś sposób związanego z tymi przemianami społeczno-gospodarczymi, które śledzimy obecnie na odcinku rolnym. Jeżeli tak można, powiedzieć, bohaterem jest świadomość ludzka, łamiąca się, niekiedy cofająca, ale zawsze postępująca w rozwoju i dlatego zwyciężająca stare nawyki myślenia, stare pojęcia, antyczne sposoby gospodarowania.

Wszystkie cztery utwory tomu pt. „Zgodnie z prawem” posiadają głęboki walor moralny, podbudowany świetnym znawstwem problematyki wiejskiej: bogactwem realiów, ciętymi plastycznymi charakterystykami postaci, i ciekawymi dynamicznymi wątkami akcji.

Jest również drugi bohater u Bocheńskiego — partia. Szczególnie mocno występuje ona w pierwszym opowiadaniu pt. „Władza” i w kolejnym „Wiosna”, częściowo także w noweli pt. „Zgodnie z prawem”. We „Władzy” autor wykazuje słuszną postawę sekretarza KP, który zrozumiawszy ostatecznie linię podziału klasowego na wsi umie odważnie stanąć w obronie interesów biedniaka.

Opowiadanie „Wiosna” jest może najsłabsze w zbiorze. „Rozbitek” natomiast kreśli głębokie studium psychologiczne chłop-biedniaka, który na skutek różnych zewnętrznych i wewnętrznych oporów nie chce przystąpić do spółdzielni, jakkolwiek wszyscy dworscy parcelanci są już członkami zespołu.

Książka Jacka Bocheńskiego jest drugą pozycją te-

go autora. Zasadniczo zaniechany po śmierci Tadeusza Borowskiego rodzaj literackiej publicystyki, reagującej na otaczające nas zmiany natchnień, w sposób żywy i wielobarwny został omówionym tomem podjęty na nowo. Wielką zaletą zbioru jest nieślabnąca pisarska pasja, pokazywanie człowieka w jego wewnętrznych konfliktach, bez sztampy i lakiernictwa. Wielką prawdą techniczną autora (str. 203): „Nigdy przedtem nie zdawali sobie sprawy, że różnica między ludźmi ich wsi jest aż tak wielka. Jeden jest człowiekiem uczciwym, a drugi w ogóle nie jest człowiekiem”. Prawda to dla czytelnika — i pisarza.

* Jacek Bocheński „Zgodnie z prawem”. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, 1952, str. 232.



Jacek Bocheński urodził się w roku 1926. W latach 1945-47 zajmował się publicystyką. Pierwszy tom jego noweli „Fiołki przyniosła nieszczęście”, ukazał się w roku 1949. Dwuletnia praca w terenie dała autorowi materiał do opowiadania o walce klasowej na wsi, które złożyły się na tom pt. „Zgodnie z prawem”

Witold Zegalski

(Obrazek satyryczny)

Straszny klient

Feliks Mularczyk jeszcze raz spojrzął na napis „Solidność” — Spółdzielnia Krawiecka i nacisnął klamkę. Wnętrze lokalu budziło zaufanie.

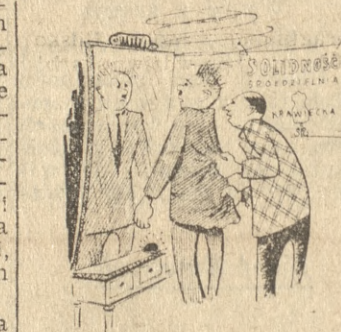
— Szanowanie! — powitał go kierownik. — Zapewne ubranko zechce pan u nas uszyć? Proszę uprzejmie, oto materiały, którymi możemy służyć.

Pan Feliks pooglądał, pogrymasił jak na porządnego klienta przystało, w końcu znalazł odpowiedni materiał, który „jeszcze nie jest taki jak powinien, ale ostatecznie ujdzie”, wpłacił zaliczkę i wspólnie z mistrzem Poprawką wybrał fason.

— Drogi mistrzu! Widzisz pan ten krój — zwrócił się do pana Poprawki, wskazując obrazek w żurnalu — otóż chodzi właśnie na dwa dwurzędówki zapinane na jeden guzik.

— Ach, taka dwurzędka na jeden guzik? — Ależ oczywiście, zrobimy panu — odparł mistrz wyciągając z kieszeni miarę. — Czy pan życzy z wcięciem czy sako?

— Tak jak tutaj w żurnalu. Nie wiem czy sako czy nie...



— No, to zrobimy z wcięciem. Klapy szerokie czy węższe?

— Tak jak tutaj...

— Ah, tak — pokiwał głową mistrz — no to zrobimy węższe. Spodenki 25, 24 czy 23 u dołu?

— Mistrzu, żeby tak wyglądały jak na fasonie.

— No, to zrobimy panu 23.

Po tych wstępnych dyktandach pan Poprawka zaczął brać miarę.

— Ma pan ciężką figurę do szycia — stwierdził w końcu, oglądając Mularczyka krytycznie. — Ramiona takie jakieś, pierś... no i w ogóle — ciężka figura do szycia. Ale niech się pan nie martwi. Jakoś to zrobimy. Przymiarka za tydzień.

Przymiarka opóźniła się tylko o trzy dni, ale pan Feliks nie zważał na drobniaki. Ubrany w skrojony materiał oglądał się podejrzliwie przed lustrem.

— Leży, panie Mularczyk, jak ulał. To ramie nieco się jeszcze wypycha, tutaj popuścimy i wszystko w porządku. Będzie pan miał ubranie że buzi dać, cacy!

Pan Mularczyk jeszcze raz rzucił okiem w lustro i jakby tknięty zapytał:

— To oczywiście, mistrzu, jest dwurzędówka?

Poprawka aż zdjął okulary.

— Dwurzędówka? Nic podob-

nego! Będzie według pańskiego życzenia jednorzędowa marynareczka.

— Ale ja zamawiałem dwurzędową marynarkę!

— Proszę pana! Ja mam przecież zapisane, że pan jednorzędówkę sobie życzył na jeden guziczek.

— Że na jeden guzik — to się zgadza, ale dwurzędówka. Nawet coś pan mówił, że jakaś podwójnie ślepa. Pruj pan i zrób dwurzędówkę!

— Ależ szanowny panie, ja mam zapisane! Jak tutaj to popruc? Takich czarodziejów nie ma!

— No więc, co teraz?

— Niech się pan nie martwi — powiedział uspokajająco mistrz Poprawka. — Jednorzędówki teraz są modne, odmładzają, wygodniej się noszą.

Mularczyk westchnął.

— Naprawdę nie ma co żałować tej decyzji. Na pewno będzie pan zadowolony. Drugą przymiarkę za tydzień.

Mularczyk wciągnął marynarkę i stanął przed lustrem.

— Panie Poprawka, co to takiego? — wskazał na ramiona.

— A to faldeczki. Drobiazgi. Kwestia wypchania.

— Ale dlaczego to się fałdą przez całą marynarkę?

— To drobiazg, podłożymy — uspokoił go mistrz Poprawka.

— Rekwasy są za długie.

— To można skrócić, drobiazgi!

— A co to takiego? —

— Co proszę?

— Przecież marynarka miała być na jeden guzik zapinana!

— Tak, ale ponieważ zamiast dwurzędówki zrobiliśmy jednorzędówkę, wobec tego zapiecie na dwa guziki będzie wyglądało poważniej. Naprawdę, znacznie lepiej wygląda. Te drobiazgi poprawimy i za tydzień może pan ubranko odebrać.

Po tygodniu pan Mularczyk stał znowu przed lustrem. Już nie tał swojego niezadowolenia.

— Te rekwasy to jak dla dziecka.

Mistrz podrapał się frasobliwie za uchem.

— Wypuścimy nieco zakładkę.

— A te fałdy na plecach, to też pan wypuści?

— My to szanownemu panu żelazkowo wypędzimy. Zresztą materiał musi się uleżeć.

— No, to wypędzaj, popędzaj, rób pan zresztą co chcesz, żeby ubranie po ludzku leżało, bo już mnie diabli biorą.

— Pan sobie kpiny urządza z człowiekiem, czy co?

— Ależ laskawo!...

— Tylko bez ubliżania, żądnym laskawka nie jestem. Jak bym tak krzywo mur postawił, na zbity twarz do noszenia płachu bym mnie dał!

— Szanowny panie... lekko sprujemy...

— To pruj pan do jasnej...

Gdy z panem Mularczykiem drzwi się zamknęły Poprawka jęknął:

— Boże, co za straszny klient!

JURGIELTNICY

(Dokończenie ze str. 1)

syłano go na najbardziej zagrożone odcinki w miastach robotniczych, zalewanych czerwoną falą protestu i rewolucji. No, nie zawsze mu się tam udawało. Łzawe słowa mające rozdygotać serca aż nazbyt często okazywały się niewystarczającą bronią przeciw żelaznej silie argumentów zaczerpniętych z Marksas. Nawet policja, więzienia, obozy nie pomagały. Nigdy nie mógł tego zrozumieć.

Kiedy skończył, na sali przez chwilę panowała cisza, potem zerwały się oklaski jak trzepotanie skrzydeł spłoszonego nagle ptactwa.

— Wzruszające, doprawdy wzruszające — Piechniczek ścisnął mu ręce patrząc to na niego, to na stojących na sali ludzi. — Co za głębia, jaka mądrość!

— Tak, tak. Dziękuję.

Sala się uciszała, ludzie wysypywali się na ulicę. Wisiełkowa czekała na chodniku. Oparta o mur patrzyła na grube konary drzew biegających wokoło kościoła. Gdzieś się znowu zawieruszył ten Jacek? Czas leci. Stasiek wraca na ośmą. Trzeba wracać do domu gotować obiad.

— No, jesteś.

— Przepraszam cię, Stefa, musiałem porozmawiać z Cie kliniskim. Wspominał w zeszłym tygodniu, że u nich w firmie zawakowało jedno miejsce, chciałem się dowiedzieć czy to jeszcze aktualne.

— I co?

Jacek zaprzeczył ruchem głowy.

— Ciekliński sam w strachu, bo mają być znowu redukcje.

— Co to za firma?

Nawet nie pamiętam, zabawkarska w każdym razie. Samochodzik, tramwaje, takie rzeczy, wszystko na sprężynach. Ograniczają produkcję, bo surowców im nie dają tyle ile trzeba. Aluminum idzie na samoloty. Zrobienia.

— Ano — westchnęła Stefa. W smutnym milczeniu wrócili do domu.

Radwański tymczasem pożegnał się z Piechniczkiem. Niebo się ściemniało, drzewa szumiły nad głowami. Poczuli się zmęczeni. — Jednak praca społeczna wyczerpuje — pomyślał. Krótsza droga, wskazana przez Piechniczka.

doszedł do stacji i po dziesięciu minutach wysiadł na Victoria Station. Co wieczór spędzał dwie godziny w „Mrowisku”.

Bonifacy Dragan nie mógł się go doczekać. Od czwartego szukał go po całym Londynie. Dzwonił do redakcji — nikt nie odpowiadał, w domu telefon też był martwy. Spróbował jeszcze Klub Orła Białego — bez skutku.

Od godziny siedział więc w „Mrowisku” z głową skierowaną na drzwi. Podnosił ją przy każdym brzęknięciu dzwonka, aby czasem nie przegapić. Sprawa była poważna i nie cierpiąca zwłoki. W przerwach pomiędzy dzwonekami czytał maszynopis pierwszego tomu swej nowej powieści. Książka powinna zrobić karierę. Pracował nad nią cztery lata i zebrał w niej bogate doświadczenia swych wojennych losów. Po przedwojennych „Obracz-

ach aptekarskich”, które wywołały sensację i zostały okrzyknięte za jedną z najlepszych pozycji dwudziestolecia, nowe „Oleandry transatlantyczne” stanowiły olbrzymi krok naprzód, przynajmniej jeśli chodzi o wartość czysto warsztatową. Szkoda, że nie zna na tyle angielskiego, by móc od razu pisać po angielsku. Na tłumaczeniu książka wiele straci. Bonifacy Dragan czuł się w pełni swego rozkwitu, pomysły rozsadały mu głowę, oryginalne sformułowania same cisnęły się pod pióro. Prawdziwy renesans twórczości!



chyleni nad stolikiem. Radwański dopił kawę, wypalił w milczeniu papierosa i powiedział, że wobec tego mogą już iść. Na ulicy złapali taksówkę i wkrótce stanęli przed drzwiami mieszkania Alana Stokesa.

Amerikanin przyjął ich w zacisznym gabinecie wyłożonym brązową boazerią. Na biurku marmurowa Wenus podtrzymywała abażurową lampę. Żółtawe światło rozprasało się po całym pokoju.

— Gin, whisky?

— Raczej to drugie — powiedział Radwański. Siedzieli w głębokich fotelach dookoła niskiego stolika. Stokes postawił kieliszki i nalał. Wypili.

Usiadł między nimi, poczęstował papierosem i otoczywszy się zwojem dymu, milczał. Radwański uwiesił się jego warg, czekając co powie. Zaczynał powoli tracić zwykłą pewność siebie. Przedłużające się milczenie Amery-

kanina stawało się krepujące.

— Gentlemen. Dzisiaj rano, jak już o tym informowałem mr. Dragana, dostaliśmy wiadomość, że polskie władze bezpieczeństwa aresztowały Drozda i jego pięciu współpracowników. Jak do tego doszło, na razie możemy tylko zgadywać. Faktem jest, że ich... nakryto. Dobrze, że tym razem nikt z naszej ambasady nie był wmięsany. Noty, wyjaśnienia — to zawsze niezbyt przyjemne. Drozd ostatnio mało pracował, raporty jego były skąpe, nie przeczę, że istotnie! Ważne, ale skąpe. Za małą wydajność, mr. Radwański, stawowco za mała. Kogo pan tam jeszcze ma?

— Teraz właściwie trzeba będzie wszystko montować od nowa.

— Hm — mruknął Amerykanin z widocznym niezadowolaniem.

— Mr. Stokes — Radwański obrócił się ku niemu. — Powinien pan zrozumieć, że to nie rok czterdziesty szósty. Dziś tych spraw nie da się organizować tak łatwo. Oni też nie śpią. Ja robiłem co mogłem. Pan wie, mr. Stokes, jak bardzo sprawa polska leży mi na sercu. Może pan być pewnym, że ze swej strony dołożyłem wszelkich starań. A że są trudności, no, to są trudności obiektywne, trudności, niestety stale rosnące i z tym się musimy liczyć w dalszej pracy.

Amerikanin nalał znowu i podsunął kieliszki.

Potem wyciągnął z biurka teczkę i położył sobie na kolanach.

— Zastanawiałem się, czy zwrócić się z tym do panów, czy też skorzystać z usług prof. Rubskiego. To zdaje się pana znajomy. Nie? Powiedź mi, że znajomy. Rubski, jak dotąd, wykazuje się wcale niełatwą robotą dla Anglików. Czy by im go nie swisnąć? Przydałby się nam. Muszę nad tym pomyśleć.

Radwański poczuł zbierającą w nim niechęć. Jacy nie taktowni ci Amerykanie! Zdanej subtelności! Po co się bawi w kota i myszkę? Jeśli ma do nas interes, to niech gada, a nie droczy się jak dziecko. Cham!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

— Mam dla panów nowe zadanie. — Stokes wyjął z te czki wycinek gazety zakreślony czerwonym ołówkiem. — Przeczytajcie, panowie. Ten obiekt trzeba... wysadzić!

Stanisław Kamiński

Do „szczekacza” z Głosu Ameryki

Merdasz ogonem przed swym panem,
i — że w Polsce wolności nie ma,
wciąż szczekasz na rozkaz.
No cóż — psy na łańcuchu związane
muszą szczekać jak pan każe,
bo zreć nie da i kijem wychłosta.

Tadeusz Haluch

Krytykowi do sztambucha

Żeś w poczet wielkodusznych zaliczany natur
nie gardź skromną poradą, którą dam ci ja tu:
Wpierw nim wzgarda, ironia w trych sądach zazgrzyta
rącz książkę, wzniosły sędzio, uważnie przeczytać!

PIOTR GUZY

ABY NIE BYŁO MAJNO- TRAWSTWA

W piecu kuchennym wykorzystujemy z każdego 1000 kalorii otrzymywanych ze spalania węgla zaledwie 150 kalorii, gdyż reszta ciepła ucieka do komina, uchodzi do popielnika z rozżarzoną popiołem itp. Przy gotowaniu na kuchenie gazowej — dzięki zesrodkowaniu płomienia na jednym punkcie i innym cechom gazu — wykorzystujemy z każdego 1000 kalorii uzyskanych ze spalania aż 750 kalorii.

Z powyższego wynika, że z punktu widzenia ogólnokrajowej gospodarki spalania wysokogatunkowego węgla w piecach kuchennych powoduje marnowanie znacz-



nej części jego wartości. Podając zaś węgiel procesowi odgazowania wykorzystujemy pełną jego wartość, gdyż otrzymujemy gaz, koks, smołę, olej i inne produkty uboczne, które są ważnymi surowcami w dziedzinie przemysłu chemicznego. (bl)

SPIEWAJĄCA GÓRA

„Spiewająca góra” nazywają na zachodzie USA kopiec piasku, ukształtowany przez wiatr w pustynnym rejonie stanu Nevada. Posiada wysokość ponad 300 metrów i długość półtora kilometra. Jest to największa wydyna piaszczysta w USA. Forma kopca zmienia się nieustannie w zależności od kierunku i siły wiatru. I niemal bezustannie w godzinach popołudniowych ów koniec piasku „spiewa”. Melodyjne dźwięki wydane przez „spiewającą górę” wydają się czasem głosami oddalonego chóru, czasem zaś grą niezliczonej ilości skrzypiec lub fletów. Fenomen ten spotykamy nie tylko na amerykańskim dalekim zachodzie. Podobne, lecz nie tak wysokie piaskowce, „spiewające wydmy” znajdują się w Afryce i Chinach. Pochodzenie dźwięków tłumaczy się rozmaicie. Jedni uważają, że to zjawisko jako rezultat wzajemnego tarcia o siebie niezliczonej ilości ziaren piasku, drudzy zaś jako wynik promieniowania ciepła nagromadzonego w nagrzanym słońcem piasku. (mis)

GROŹNE SIŁY WULKANÓW UJARZMIANE PRZEZ CZŁOWIEKA

Człowiek z coraz to większym powodzeniem wykorzystuje ogniska groźnych sił wulkanu.

W różnych częściach ZSRR wykorzystuje się szeroko go-



race źródła podziemne. W Islandii przy pomocy ciepła podziemnego ogrzewa się budynki, łącznie, wodę do prania bielizny. Mimo wszystko są to zaledwie pierwsze próby, ujarzmięcia groźnej siły wulkanów i podporządkowania ich woli człowieka. (bl)

Od szlamu do fabryki naftalenu

Odstojniki „Walentego” — okazałych rozmiarów stawy, do których bez przerwy spływają wszelkie nieczystości z kładow kokso — chemicznych i tu się osadzają, aby nie truć ryb i wody w niedalekiej Bystomce — omijano z daleka. Związki, gdy przegrzewało słońce. Ostrej fetor chemikaliów wyciskał z oczu.

Dyrekcja zakładów kokso-chemicznych „Walenty” w Rudzie miała od wielu miesięcy kłopot ze znalezieniem przedsiębiorcy, który by odczyszczył wysypisko po brzozi odstojniki. I oto zupełnie nieoczekiwanie znalazł się amator, który nawet chętnie podjął się niewdzięcznych prac.

Amatorem tym była Chemiczna Spółdzielnia Pracy im. Obrońców Pokoju w Warszawie. Spółdzielnia wytwarzała zastępcze masy lepikowe i konserwacyjne. Do tego rodzaju produkcji niezbędna jest smoła — artykuł bardzo potrzebny przemysłowi kluczowemu. Na wielkie przydziały smoły zarząd spółdzielni nie mógł więc liczyć. Pozostawało szukać innych źródeł surowca.

Zespoły eksploatacyjne spółdzielni ruszyły zatem na Śląsk, czyszcząc z osadu zbiorniki i cysterny zakładów kokso — chemicznych.

I tak, ku wielkiej radości dyrekcji „Walentego”, zaczęło się czyszczenie odstojników.

Szlam, wydobyty z dołów, przesycał, tworząc mazistą, tłustą masę. A przesycając, pokrywał się białym, krystalicznymi płatkami. Wydzierał przy tym ostrą woń naftaliny. Kierownik zespołów Adam Dawidowicz w tej ostrej woni naftaliny wyczuł skarb. Przyjechał zaalarmowany przewodniczący zarządu spółdzielni, inż. Władysław Horodyski i rozpoczął dochwytywanie. Najpierw próbowało zapalić. Paliło się tak, że zaniepokojona o całość zakładów fabryczna straż otoczyła laboratorium dyskretną ale stanowczą opieką.

„Laboratorium” pracuje...

Tymczasem oczyszczanie odstojników szło szybko i sprawnie. Dokopano się do upragnionej smoły. Blisko 1000 ton — prawdziwy skarb! Ale polyskujący białymi kryształkami szlam nie dawał spokoju. Postanowiono spróbować „z innej beczki”. I oto pod boki wielkich zakładów przemysłowych, w polu, nad cuchnącym odstojnikiem, powstało „laboratorium”. Syczała para, doprowadzona z „Walentego” rurami, a w uszczelnionym kotle wesoło bulgotał szlam, sublimował naftalen, zwany popularnie naftaliną, osadzając się kryształkami na ścianach kotła. Zamiast śniegobiałej — był brązowy, plątały się w nim ciagle jakieś oleje. Oba poszukiwacze, wspierani wiarą robotników Czarnego i Stogniewa, którzy prawie dzień i noc nie odstępowali od aparatury — nie tracili jednak nadziei. Wreszcie po kilku miesiącach udało się otrzymać prawie czysty, biały naftalen. I to w nie było jakiej ilości: z jednej tony szlamu — 200 kg. To odkrycie przeszło wszystkie oczekiwania.

Gospodarka narodowa, dzięki pomysłowi racjonalizatorów Horodyskiego i Da-

widowicza, uzyskała nowe, niewykorzystane dotychczas, bogate źródła naftalenu, który był dotychczas artykułem deficytowym, a jest niezbędnym surowcem naszej rozwijającej się chemii, ważną pozycją w naszym eksporcie.

Nie tylko... naftalen

W dwa miesiące po dokonaniu odkrycia, w listopadzie ub. roku, pod Warszawą w Pustelniku, na gruzach starej garbarni wyrastać zaczęła niezwykła fabryka: fabryka naftalenu.

W przeddzień święta Pracy, minister przemysłu drobnego i rzemiosła, Żebrowski, w obecności przedstawicieli KC PZPR i PKPG dokonał uroczystego uruchomienia fabryki. Na piersiach inż. Władysława Horodyskiego i Ada-

Kenaf — gość z Indii dobrze się czuje w Polsce



Odcinek łodygi kenafu.

Rozwijający się przemysł krajowy oraz rolnictwo jak również wzrastający obrót towarowy z zagranicą powoduje m. in. coraz to większe zapotrzebowanie na tkaniny opakunkowe oraz worki. Wiele my jednak, że włókno służące do wyrobu różnego rodzaju opakowania, tzw. jute, jesteśmy zmuszeni importować z Indii. Właśnie trudności importowe spowodowały, że już od dłuższego czasu poszczególnie państwa europejskie pragnęły niezależnie się od dowozu juty przez aklimatyzację tej rośliny. Niestety, nie tylko w Europie, lecz nawet w podobnych do Indii warunkach glebowo-klimatycznych Ameryki i Afryki nie udało się uzyskać poważniejszych rezultatów.

Zwrócono więc uwagę na inną roślinę włóknistą — kenaf — rosnący również w Indiach. Okazało się bowiem, że włókno tej rośliny również jest bardzo dobrym surowcem służącym do wyrobu worków, a jej uprawa pozwala rozprzestrzenić się w innych krajach klimatu ciepłego, docierając nawet do Europy.

Główne uprawy kenafu znajdują się w Indiach, Indochinach, na Jawie, Kubie i Sumatrze, w zachodniej i południowej Afryce, Brazylii, Meksyku, Iranie i ZSRR. W Związku Radzieckim kenaf w r. 1924 zajmował zaledwie powierzchnię 25 ha, obecnie uprawy te osiągnęły już ponad 50 000 ha.

W Polsce od kilku lat prowadzi się prace nad aklimatyzacją kenafu. Do wysiewów polowych nasiona importuje się z ZSRR, gdyż w chwili obecnej w warunkach krajowych bardzo mały procent nasion dojrzewa. Na wysiew 1 ha potrzeba ok. 20 kg nasion. Kenaf wymaga dość dużo ciepła (średnia temperatura dzienna ok. 13 stopni C.) oraz zwiększonej wilgotności powietrza i gleby zwłaszcza w pierwszym okresie rozwoju.

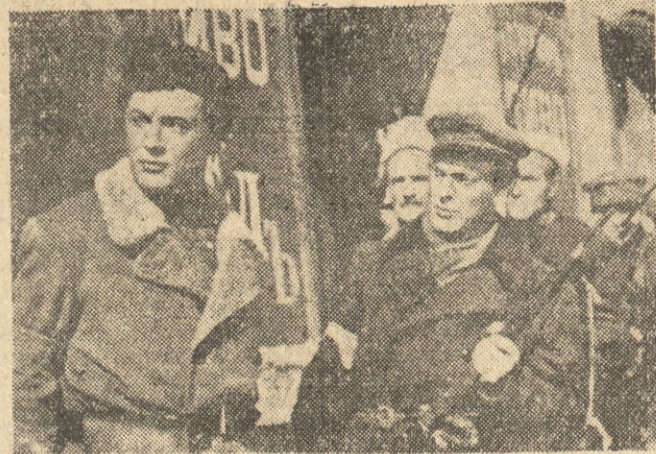
Najlepsze plony otrzymuje się na glebach średnio-zwężłych, czarnoziemach i glebach piaszczysto-gliniastych. Nie nadają się pod uprawę kenafu gleby podmokłe i kwaśne. Kenaf reaguje dodatnio na dodatek nawozów organicznych lub mineralnych, wykazując wzrost plo-

ma Dawidowicza zabłądziły od znaki racjonalizatorów produkcji.

W komorach sublimacyjnych zaczął się topić przysiężony ze Śląska niepotrzebny dotychczas nikomu szlam pokoksoowniczy, zamieniając się w tony naftalenu. Nie tylko naftalenu. Okazało się bowiem, że produkt pozostały po odsurowieniu naftalenu, kryje jeszcze jedną cenną właściwość: pali się. W uruchomionej fabryce będzie więc przerabiany na tak bardzo poszukiwane na rynku kulki podpałkowe, zwane Lofixem.

Wydawałoby się, że odkrycie, dokonane przez Horodyskiego i Dawidowicza jest przypadkowe. Wynalazki i pomysły racjonalizatorskie nie powstają jednak przypadkowo. Rodzi je potrzeba i twórcza myśl ludzi pracy, której motorem jest umiłowanie kraju, pragnienie pogmnażania jego siły i bogactwa. Dlatego ruch nowatorski stale potężnieje, stając się jedną z podstaw wzrostu produkcji. I uczy. Uczy rozumnie i oszczędnie gospodarować.

TADEUSZ POJMAŃSKI



Scena z filmu „Zołnierz zwycięstwa”.

„El generale Polaco”

Na czystym, bezchmurnym niebie nieba pojawiły się białe chmurki. Po obu brzegach rzeki jest zupełnie cicho. I nagle cały las zatrzęsł się od wystrzałów. Zza krzaków szybkim biegiem wyruszyli żołnierze, uzbrojeni w karabiny i broń maszynową. Szybko usadowili się w pontonach oraz w gumowych łodziach i wiosłując co sił płyną na drugi brzeg. Na rzece tymczasem raz po raz wybuchają fontanny wody i odłamków. Jedna z łódek trafiona... zanurza się. Huk eksplozujących pocisków miesza się z terkotem karabinów maszynowych.

GŁOS MA REŻYSER

Oto jedna ze scen nowego, długometrażowego filmu polskiej produkcji pt. „Zołnierz zwycięstwa”. Posłuchajmy, co o genezie filmu — mówi współautorka scenariusza, laureatka Międzynarodowej Nagrody Pokoju — reżyser Wanda Jakubowska. „Przed wojną śledziłam z uwagą wydarzenia wojny domowej w Hiszpanii. Interesowały mnie bardzo postacie bojowników Brygad Międzynarodowej, którzy z różnych krajów szli na pomoc ludowi hiszpańskiemu. Po wyzwoleniu z radością dowiedziałam się, że gen. Świerczewski, dowódca naszej II Armii, to właśnie bohater wojny hiszpańskiej, gen. Walter — ten sam, którego znałam już przedtem z opowiadań uczestników walk w Hiszpanii. Tragiczna śmierć generała wywarła na mnie olbrzymie wrażenie. Zdałam sobie sprawę, jak wielką stratą dla nas, dla Polski Ludowej, i jak na reke jej wrogom — była śmierć gen. Świerczewskiego. Równocześnie niemal nastąpił inny fakt — wypuszczenie na wolność przez anglo-amerykańskie władze okupacyjne potentata niemieckiego przemysłu wojennego — Kruppa. Zestawienie tych dwóch faktów, ich wymowa polityczna — nasunęły mi pewną koncepcję dramatyczną, polegającą na ukazaniu drogi zwycięstwa i dwóch ludzi, dwóch światów.”

EPOKA ZAKŁĘTA W TASME FIMOWEJ

Filmu na podobną skalę nie zrealizowała nigdy przedtem kinematografia polska. Okres, który obejmuje on swym zasięgiem, to przecież cała epoka sięgająca lat walki z caratem w 1905 r. i biegnąca następnie przez fronty Rewolucji Październikowej, polską bitwę dalekiej Hiszpanii i znowu walki z lawiną hitlerowską pod Moskwą, i wreszcie boje o wyzwolenie ziemi ojczystej, aż do ostatniej bitwy pod Bagdadem.

Niemale trudności następowały konieczności filmowania krajoznawstwa hiszpańskiego, oczywiście ze względu na panoszący się obecnie w Hiszpanii reżim katanarodu hiszpańskiego, Franco; o nakręceniu zdjęć w miejscowościach, w których walczyli Dąbrowscy, mowy być nie mogło. Po długich poszukiwaniach wytypowano w tym celu dwie

miejscowości, w których nakręcono sceny hiszpańskie. Miejscowości te to Inowłódz pod Tomaszem Lubą i okolice Lwówka na Dolnym Śląsku. Akcja sekwencji hiszpańskiej rozgrywa się w okolicach Madrytu, tak więc filmowcy musieli poznać krajoznawstwo i roślinność, architekturę i urządzenia wnętrz.

Ogółem ekipa dokonała 16 ekspedycji do różnych miejscowości kraju. Oprócz 7 większych dekoracji plenerowych do filmu wykonano 82 dekoracje atelierowe, przedstawiające wnętrza. Celem możliwe wiernego odtworzenia ogromnych obiektów, wybudowano w Rudzie Pablińskiej dekoracje plenerowe — które zajęły powierzchnię około 2 ha.

Przy współudziale radzieckich specjalistów, G. Griwowa, dokonano zdjęć kombinowanych (tj. makiet, domakietek, połączenia perspektywicznego itp.), co pozwoliło przy stosunkowo niewielkich kosztach uzyskać odpowiednie efekty (np. mur kremlowski).

4.500 KOSTIUMÓW

Dla 350 aktorów i tysięcy statystów uszyto 4.500 kostiumów, które po zakończeniu zdjęć zasilły w poważnym stopniu nasze zniszczone przez wojnę archiwum kostiumowe.

Większość zdjęć batalistycznych nakręcono w okolicach Poznania. Brały w nich udział jednostki Wojska Polskiego, KBW i WOP-u, złożone z kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, wyposażonych w działą artyleryjskie, samoloty, czołgi i pontony.

W „Zołnierzu zwycięstwa” aktorzy naszych teatrów po raz pierwszy w historii naszego filmu odtwarzają postacie wodzów Rewolucji Październikowej: Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina oraz Feliksa Dzierżyńskiego, Bolesława Bierut i Konstantego Rokossowskiego. Praca nad tymi rolami wymagała ze strony aktorów szczególnie głębokich studiów i prób.

Nieoceniana pomoc dla naszych filmowców byli radzieccy fachowcy — charakterystycy: A. Tolkunowa i M. Pieczewicz, protektorki, D. Mironow oraz specjalista zdjęć kombinowanych — G. Griwcow.

ZB. ZAP.

Choroba, której lekceważyć nie wolno

Dolegliwością często spotykaną tak u ludzi miast jak i wsi, są bóle stawów, mięśni — czyli reumatyzm, choroba tak bardzo rozpowszechniona na całym świecie. Reumatyzm wywołuje dość często choroby serca, a niejednokrotnie powoduje nawet kalectwo. Zrozumiałym więc jest, że w zwalczaniu tego rodzaju choroby nie należy zwlekać, lecz starać się leczyć już pierwsze jej objawy.

Rząd Polski Ludowej poświęca tej chorobie bardzo wiele uwagi, dowodem czego jest utworzenie Państwowego Instytutu Reumatologicznego w Warszawie, zadaniami którego jest rozpoznanie choroby i leczenie w specjalnych klinikach. Przy ośrodkach specjalistycznych organizowane są przychodnie reumatologiczne w celu przeprowadzania leczenia ambulatoryjnego. Polski Przemysł Farmaceutyczny produkuje cały szereg leków, jak np. specjalny rodzaj zlozonego balsamu mentolowo-salicylowego, który jest wypróbowanym i skutecznym lekiem przeciw pierwszemu objawom reumatycznym, w postaci bólu stawów lub mięśni.

Balsam ten nie drażni skóry, wchłania się szybko i dobrze.

Szerokie zastosowanie mają też zapisywane przez reumatologów leki, do użytku wewnętrznego, również produkowane przez Polski Przemysł Farmaceutyczny, jak Polopiryna tbl., Salicylan Sodiu i inne. Jeżeli choroba nie jest zbyt zaawansowana, to już po kilkukrotnym wzięciu balsamu i zażyciu kilku-kilku tabletek Polopiryny ból stawów ustąpi.

Co to jest „SKG-4”?

W ostatnich czasach nauka rolnicza i czolowa kolchozowa praktyka opracowały nowy efektywny sposób sadzenia ziemniaków: kwadratowo-gniazdowy. Według tego sposobu ziemniaki sadzone są w bruzdy nie po jednym sadzeniu, a gniazdam, po 2—3 sadzenia w każdym, w jednakowej odległości zarówno między gniazdam jak i między rzędami.

Nowy sposób sadzenia ziemniaków pozwala zmechanizować międzyrzędowe sadzenie, a zarazem głęboko spulchniać ziemię dookoła sadzenia. Przy zwykłym sadzeniu ziemniaków między rzędami spulchnia się ręcznie motykami, ale nie dość dla ziemniaków głęboko. Przy głębokim spulchnianiu procesy mikrobiologiczne w gruncie przebiegają bardziej aktywnie i roślina otrzymuje więcej pokarmu. Pomimo wielkiej korzyści, jaką daje, kwadratowo-gniazdowy sposób

sadzenia ziemniaków nie wszędzie się przyjęło. Jedną z głównych przyczyn był brak odpowiedniej maszyny, pozwalającej zmechanizować pracę człowieka. Obecnie trudność ta została pokonana. Radzieccy konstruktorzy wynaleźli maszynę, która mechanicznie sadi ziemniaki nowym sposobem. Maszyna ta, zwana „SKG-4” sadi dziennie 6 do 8 hektarów ziemniaków. Maszynę obsługuje 6 osób łącznie z traktorystą.

O rozmachu nowego sposobu sadzenia ziemniaków mówią cyfry następujące: w kolchozach Rosyjskiej SRR w roku diejącym nowym sposobem zasadzono będzie prze strzeń 400 000 hektarów, z czego w samym obwodzie moskiewskim — 110 000 ha. Prawie czterokrotnie zwiększy się przestrzeń kwadratowo-gniazdowego sposobu sadzenia ziemniaków na Białorusi. (Prawda)

Nowości filatelistyczne

70 rocznicę śmierci Karola Marksa Poczta Polska upamiętniła serią okolicznościową, składającą się z dwóch znaczków za 60 gr (stalowo-niebieski) i 80 gr (brązowy).

Na znaczkach widzimy Marksa podczas pracy. U góry okolicznościowy napis i daty „1883—1953”. Znaczniki wykonane litografią projektował Sopoćko.

Tegoroczne Święto 1 Majowe upamiętniły dwa znaczki za 60 i 80 gr. Znaczniki przedstawiają kłosa ziemską z welkniętym w nią czerwonym sztandarem z napisem „1 Maj”.

Projektował Cz. Makarczyk. Druk wykonano systemem litograficznym.

Z okazji VI Międzynarodowego Kolarskiego Wyścigu Pokoju ukazały się trzy znaczki w jednakowej wartości (80 gr) i rysunku, przedstawiającym dwóch kolarzy na trasie. W lewym górnym rogu widzimy gołąbka pokoju.

Każdy znaczek ma jednak pod gołąbkim inny herb. I to: Warszawy, Pragi i Berlina. W prawym górnym rogu umieszczono nazwy organizatorów: „Trybuna Ludu”, „Neues Deutschland” i „Rudé Pravo”. Znaczniki projektował Cz. Makarczyk. (jk)



Kierownik Liszka analizuje

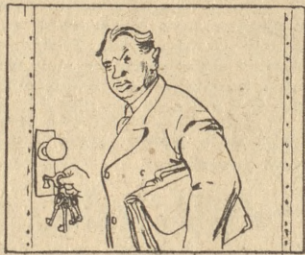
Felieton o schematycznym zakończeniu

Koleżanki i koledzy! Prosiłem was tutaj, gdyż jak wiecie za godzinę rozpocznie się ogólnozakładowa narada produkcyjna z udziałem wszystkich pracowników, której tematem będzie walka z brakoróbstwem. Zaznaczam, że temat został narzucony z góry, ze strony dyrekcji fabryki i rady zakładowej z uwagi na to, że nasz oddział „DB” wykazuje jakoby niedozwolony, zbyt duży procent braków. (Gniewne poruszenie na sali.) Spokojnie, Koleżanki i Koledzy. Dlatego ośmieliłem się wezwać do siebie was, a więc tę część majstrów, która wyróżnia się największą wiedzą fachową i do której ja osobiście mam pełne zaufanie, aby dokonać wnikliwej analizy i postawić problem. (Życzliwe poruszenie na sali.) Musimy prosić Koleżanek i Kolegów przeprowadzić tu samokrytykę, a po tem przenieść ją na zebranie ogólne. Nie potrzeba chyba dowodzić dziś pożytku tej ważnej broni w walce o jakość produkcji, jaką jest samokrytyka. (Aprobujące poruszenie na sali.) Zobaczyć błędy własne, to już połowa drogi do pozbycia się ich. Dlatego musimy zastanowić się najpierw jakie są nasze błędy i skąd się one biorą. Ponieważ braki produkcji określa dozór techniczny, w przypadku naszego oddziału „DB” — brakarz Kocur, jest rzeczą logicznie uzasadnioną, że powinniśmy zająć się w naszej prywatnej dyskusji przede wszystkim jego pracą. Tym bardziej, że — jak Koleżanki i Koledzy wiedzą — jest to człowiek twardy i nieprzejemny, powiedziałbym niedostępny dla ludzkich uczuć, który z pewnością nie omliska wykorzystania okazji, aby znów zaatakować nasz oddział. (Apatyczne westchnienie.) Otóż musimy tu samokrytycznie przyznać, że praca ob. Kocura pozostawia wiele do życzenia. (Ożywienie.) Nie tylko, że nadużywa on tytoniu podczas godzin służbowych, ale w dodatku ma niewłaściwy sposób złośliwego krytykowania sortowanych produktów w obecności najniższej postawionej w hierarchii pracowników, co oczywiście podważa autorytet na naszym etapie, jest sprzeczne i w ogóle utrudnia. (Gorące oburzenie.) Trzeba podkreślić, że ob. Kocur zaliczył podomki wyprodukowane przez pracownię obecnej tu sympatycznej Koleżanki Zaniebajko (brawa) do kategorii najniższej, tylko dlatego, że on sam ma skłonności do osób tego rodzaju. Tak, proszę Koleżanek i Kolegów, ośmieliam się nazywać rzeczy po imieniu. Wiecie, jakiej tuszy jest jego żona. Otóż ob. Kocur sądzi, że gdy podomek na kształt takiej osoby jak jego małżonka nie dopina się z przodu powiedzmy na głupie 15, 20 centymetrów, to taki podomek jest brakiem ostatniej kategorii. To już proszę Koleżanek i Kolegów są niedopuszczalne szkany! W naszym mieście jest dostateczna ilość pańek szczipułych o figurkach w kształcie termometrów, na których nasze podomki z pewnością domknęłyby się od przodu, przynajmniej na tyle, aby udało się

Jan Piotrowski



Jan Piotrowski dokładnie zamknął kasę pancerną.



Nie zapomniał zamknąć drzwi biura.



I tylko zapomniał zamknąć usta...

(„Krokodil”)

zapiąć jeden lub dwa guziki. A przecież nie chodzi o nic więcej. Ob. Kocur może sobie być starym zgryźliwcem, który poza swoim tytoniowym kopciuchem i tęgą małżonką nie widzi świata, ale młode dziewczęta, proszę Koleżanek i Kolegów, odczuwają życie inaczej, zwłaszcza na wiosnę, i nie mają nic przeciwko temu, gdy spod niezbyt dokładnie zapiętego podomka wychyli się czasem kragiele kolanko lub inny równie pojętny szczegół niewieściej anatomii. (Chichoty.) Ale dość żartów. Tu chodzi o rzeczy nierównie ważniejsze! Gdybyśmy chcieli produkować takie podomki, jakie wymarzył sobie ob. Kocur, to aby wyprodukować tę samą ich liczbę z przydzielanego materiału i w konsekwencji utrzymać nasze premie na obecnym poziomie — krajażki miałyby trzy razy więcej pracy z wykrojeniem podomków. Po drugie materiał byłby wówczas rozpotrzebowany do ostatniego centymetra i nie pozostałoby ani ścinka na szorty, apaszki itp., za które otrzymujemy dodatkowe premie. Ob. Kocur odrzucił nam również całą partię bluzeczek w paski. Odrzucił tylko dlatego, że bluzeczki miały karczki z innego materiału, nie w paski, a w ciapki. A przecież połączenie to, to był interesujący, nowatorski pomysł naszej miłej koleżanki Chytruskiej w dziedzinie mo-

dy. (Oklaski.) Koleżanka Chytruska słusznie zastąpiła w ten sposób popularnym kretonem kilkadziesiąt metrów jedwabiu w paski, z którego — przez prosty przypadek — powycinano w krawalnię męskie kąpielówki. Ale tu chodzi o poważniejsze aspekty problemu w przekroju aktualnej rzeczywistości na odciuku. Bo proszę zważyć. W momencie gdy cała klasa robotnicza ofiarnie pracuje wśród wyrzeczeń dla przyszłości i pokoju, ob. Kocur rzuca pod nogi klody, wsadza kij między szprychy i opóźnia. (Gorące oklaski.) Nasz robotnik buduje, proszę Koleżanek i Kolegów, giganty przemysłu i nowe miasta. A co robi ob. Kocur? Ob. Kocur odrzuca bluzki i pozbawia nas premii? Dlatego, że mu się karczki w ciapki nie podobają! To jest pozycja aspołeczna, to jest śmielenie, robota wroga, która godzi i rozbija. (Huraganowe oklaski.) Dlatego proszę Koleżanek i Kolegów, aby na zbliżającej się naradzie zajęli odpowiednie stanowisko w obronie i dla dobra. Należy żądać samokrytycznej zdjecia ob. Kocura z kluczowego stanowiska, które wykorzystuje dla wyładowywania swoich wątrobiarskich nastrojów, i wybrać na jego miejsce cenionego fachowca, obecnego tu na sali majstra, i naszego kochanego przyjaciela, kolegę Tadzinka Krędeńko! (Długotrwała owacja, wszyscy powstają z miejsc.) Czy kto z Koleżanek i Kolegów chciałby jeszcze zabrać głos? A, Kolega Zimny. Nie wiedziałem, że kolega jest na sali. No proszę, ale krótko, bo myślę, że oświetliłem rzecz wyczerpująco.

— To wszystko, co powiedział tutaj kierownik Liszka — zaczął ob. Zimny — to jest nieprawda. Ja znam Kocura od 25 lat. Ten człowiek nigdy nie powie czarne, jak jest białe i odwrotnie. I powiem, że ma on rację, kiedy odrzuca naszą produkcję. (Głośnie sykania.) Za dużo u nas grandy i nawalanki, za mało rzetelnej pracy, za dużo rozmówek i flirtów, za mało troski o społeczne dobro, za dużo kombinowania na lewo. (Okrzyki oburzenia.) Sami wiecie dobrze ile rzeczy dzieje się u nas przeciw regulaminowi i okólnikom. Z tym trzeba skończyć, bo na tym traci nikt inny tylko nasz brat robotnik. Tak, z tym trzeba skończyć zanim będzie za późno! A no wych bluzek obywatelki Chytruskiej nie można w ogóle włożyć, bo wycięcie na szyję jest za małe i nie przechodzą przez głowę. Skończyłem! (Silne wzburzenie, gwar, szuranie krzesłami, okrzyki: Wstyd! Hańba!)

* * *

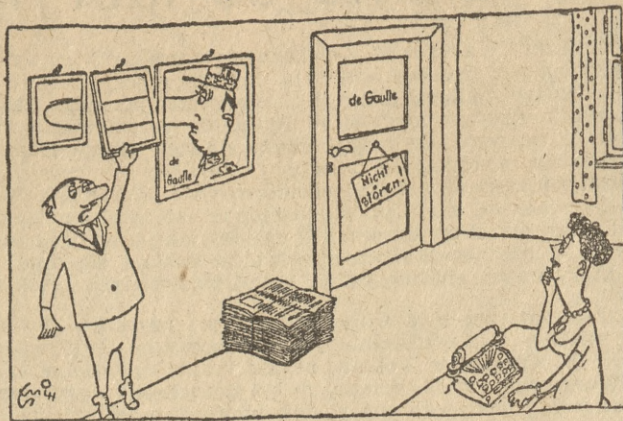
A zakończenie?

Po ogólnozakładowej naradzie brakarz Kocur awansował na szefa dozoru technicznego w całej fabryce, majster Zimny na kierownika oddziału „DB”, a dotychczasowy kierownik ob. Liszka przeniesiony został do innego zakładu, do pracy kancelaryjnej w charakterze pomocy biurowej.

Schematyczne — prawda?

To nie. Bardzo radują nas i napawają optymizmem tego rodzaju schematyczne zakończenia. (Ja)

We francuskich wyborach samorządowych, uwięzionych zwycięstwem partii komunistycznej, najpoważniejszą porażką poniosła faszystowska partia de Gaulle'a.



— Sądzę, że wyjmiesz środkową część portretu, skoro tak mocno oberwał on po nosie podczas wyborów samorządowych...! („Welt Illustrierte”)

John Stave

Przygoda

Mister J. F. Snyder był amerykańskim fabrykantem. W jego zakładach produkowano masowo broń pancerną, która — na szczęście — miała wielki zbyt na froncie koreańskim. Ponieważ jednak front koreański był dla tego rozwijającego się ducha interesu zbyt krótki, wywiesił więc na ścianie swego gabinetu hasło, poprawne w ramy. Wyrażało ono jego najbardziej gorące życzenie i głosiło: „NIEMCY MUSZĄ SIĘ STAĆ DRUGĄ KOREA”. Takie samo hasło widniało na wielkich plakatach, wy-



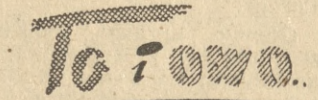
wieszonych w halach fabrycznych jego zakładów.

Gdy mr. Snyder pewnego dnia pił swą poranną kawę i przeglądał gazetę, doznał nagłego wstrząsu. Czarne literki poczęły tańczyć mu przed oczyma i jak wszyscy amerykańscy producenci materiałów wojennych przypuszczał, że został otruty.

Jednakże niebawem litery znowu się uporządkowały i J. F. Snyder ku swemu wielkiemu oburzeniu musiał przeczytać, że jednak świat stoi w przededniu możliwości zawarcia pokoju w Korei.

Niepojęte! To małe zdanie wyprowadziło wielkiego J. F. Snydera do tego stopnia z równowagi, iż — jak to zwykle czynią amerykańscy fabrykanci, aby się uspokoić — zbił własnego psa.

Nazajutrz rano amerykański przemysłowiec J. F. Snyder został aresztowany i przekazany Komisji Badania



„Nasi emigranci” do wszystkich, co się dzieje w Polsce, nastawieni są anty...
Nie dziwnego. Sami są przecież antykamizdowo przeżytego ustroju. (jk)

Działalności Antyamerykańskiej.

— Pan wie zapewne, dlaczego pan się tu znalazł? — zapytał prowadzący śledztwo.

— Nie... nie... oczywiście, że nie — wyjąkał niepewnie J. F. Snyder i krzyknął: „Niech żyje Ameryka!”

— Ależ niech pan zostawi te głupstwa — przerwał śledczy. — Pan uprawiał w swych zakładach propagandę za pokojowym rozwiązaniem sprawy Niemiec. Lub też woli pan zaprzeczyć temu, iż rozwieszał pan po swych zakładach hasła: NIEMCY MUSZĄ SIĘ STAĆ DRUGĄ KOREA.

— O nie, na pewno nie — wyjąkał w najwyższym zakłopotaniu J. F. Snyder, ależ chyba trudno, aby pan nawet we śnie przypuszczał...

— O tym, co my przypuszczamy, dowie się pan za chwilę. Na Korei istnieją rzeczywiste możliwości zawarcia traktatu pokojowego, a pan ośmielił się żądać tego samego dla Niemiec. Pańscy robotnicy przyłączyli się do pańskich żądań i wzbraniają się produkować broń, jeżeli nie chcemy użyć wyrażenia, że strajkują.

Ostatnie słowa sędziego śledczego nie doszły już do świadomości J. F. Snydera. Popadł w głębokie omdlenie.

Tłum. Z. G.

Mistrz — dla siebie

Tęgi z niego specjalista, Jakich mało jest w fabryce, Lecz nikt z tego nie korzysta, Bo swą wiedzę chowa skrycie.

I obnosi się z nią dumnie, „Tajemnicy” strzegąc kluczy, Nie ten dobry, kto sam umie, Lecz kto innych uczy! SKORPION

Kuśacka filozofia

— Miedze zaorywać? A bo to dla mnie nowina? — rozmyślał kułak. — Przecież ja to już dawniej robiłem i teraz robię. Kupiłem ziemię od Karasia i — miedzę zaorałem... Kupiłem dwie morgi od Styki i znów miedzę zaorałem... Ileż to ja tych miedz w swoim życiu zaorałem, a teraz nie chcą mnie przyjąć do spółdzielni produkcyjnej... (B)



BEZ SŁÓW

POCZTA NOWEGO ŚWIATA

Konstanty Syrewicz. Prosimy o podanie dokładnego adresu celem przesłania honorarium za artykuł „Kalore chwyta przez lustro”.

W. Walczewski, Wągrowiec, Wierszyk „O pewnej ulicy Wągrowca” nie odpowiada jeszcze wymogom utworu satyrycznego „Szerszeń” — Miedzychód. Nadane fraszki świadczą o pewnym zacieciu satyrycznym i łatwości pisania. Prosimy jednak o utwory bardziej związane z aktualnymi zagadnieniami.

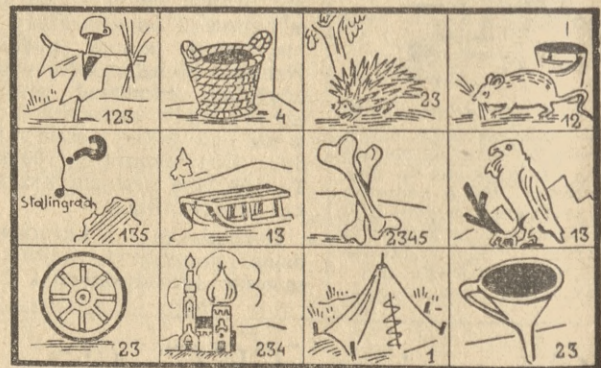
Witold Sawicki. — Poznań. Anegdota zbyt znane.

K. B. Sroda. Wydrukujemy. Prosimy o dalszą współpracę.

B. Nowakowski, Grodziszewo. — W. Miniewski, Poznań. Z braku miejsca nie zamieszczamy.

ROZRYWKI umysłowe

1. Rebusowy arytmograf



Odczytać poszczególne rebusy w kolejnym porządku, następnie z każdego wziąć litery porządkowe według podanych pod każdym rebusikiem u dołu cyfr, a otrzymamy trzywyrazowe rozwiązanie.

2. Składanka

ROZBIÓRKA — MINERAL — POMYSŁ — URODA — LENIWCE — POWTÓRZENIE — KORNET — MYDLARNIA — WIEPRZ — RZEMYK — SLUCH.

Z każdego z powyższych wyrazów wziąć po trzy obok siebie stojące litery, które dadzą nam pięciowyrazowe rozwiązanie.

Za prawidłowe rozwiązanie obu zadań przeznaczamy do rozdysponowania 3 nagrody książkowe, a za rozwiązanie jednego — 2 dalsze nagrody pocieszenia (również książki). Rozwiązania nadsyłać prosimy w terminie tygodniowym pod darem: Redakcja „Głosu Wielkopolskiego” — Poznań, ul. Grunwaldzka 19, z dopiskiem — „Rozrywki umysłowe”.

Rozwiązanie zadań z dnia 26 V br.

1. Błędne koło: kakadu — dublet — etiuda — Danuta — tarza — zatoka.
2. Oblicz: 36.
3. Składanka: Produkcja braków szkodnictwem gospodarczym.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrody książkowe wylosowali:

1) I. Stanisławski, Września, Obródców Stalingradu nr 18; 2) Eug. Swiniarski, Drezdenko pow. Strzelce Krajeńskie, ulica J. Stalina nr 33; 3) Jan Skomski, Poznań, ul. św. Wojciecha nr 22/24, m. 19.

Nagrody pocieszenia (książki) wylosowali:

1) W. Miniewski, Poznań, ul. Czerwonej Armii nr 37/5, 2) Józef Nowak, Kępno, ul. Kilińskiego nr 3. Nagrody odebrać można w redakcji „Głosu Wlkp.”, Poznań, ul. Grunwaldzka nr 19, pokój nr 60. Zamiejscowym wysłamy książki pocztą.

Adam Ochocki

„REMONTY”

Bolączką wielu zakładów pracy są nieprzemyślane remonty maszyn.

Kiedy człowieka niemoc weźmie, Z pomocą zaraz spieszy lekarz, Lecz, gdy maszyna się zepsuje, Wtedy na remont — próżno czekasz!

Wreszcie się zjawia różni „specy”, Fachowym wzrokiem spojrzą wokół, Maszynę w „drobny mak” rozbiorą I tak zostawią... na pół roku.

Potem z maszyny rozebranej Do różnych maszyn różne części Podbiorą inni „specjaliści” I tak to dzieje się najczęściej.

Więc narzekają robotnicy, Bowiem produkcja przez to leży... — Oto jest przykład idealny, Jak remontować... nie należy!

BEZ SŁÓW

